

## Czy historia jest nauczycielką życia?

Wkrótce będziemy obchodzili 150. rocznicę wybuchu powstania styczniowego. Większość z nas z okresu nauki szkolnej pod hasłem „powstanie styczniowe” zapamiętała tylko kilka rzeczy: że wybuchło w styczniu (tu na szczęście kalendarz juliański nie zdołał nabroić); że byli jacyś „biali” i „czerwoni”; że Romualda Traugutta powieszono na stokach warszawskiej cytadeli; że kibitki wywoziły zesłańców na mroźną Syberię; może jeszcze ktoś potrafiłby wskazać miejsce jakiejś bitwy (o ile potyczka miała miejsce w stronach rodzinnych). Nie miejsce tutaj, by poszukiwać przyczyn tej nikłej świadomości tematu, choć przykład innego polskiego powstania wskazuje, że dramatyczne wydarzenie może, pomimo upływu lat, nadal wzbudzać silne emocje, a tym samym zakorzeniać się w świadomości społecznej, ale do tego potrzebna była nowatorska koncepcja „Muzeum Powstania Warszawskiego”, prowadzenie kampanii pamięci historycznej, a także podjęcie tematu powstania warszawskiego przez młodych twórców muzyki, którzy jak nikt inny mają możliwość docierania do młodego pokolenia. Powstanie styczniowe takiego „szczęścia” nie miało, a szkoda, bo było to wydarzenie niezwykle, o wielu różnych obliczach, a także – wbrew pozorom – miało ono bardzo wiele wspólnych cech z powstaniem warszawskim, o czym opowiem trochę później.

Dla uzupełnienia braków, o których wspomniałem na początku wywodu, wypada narysować pokrótce przebieg wydarzeń. Chyba najtrafniej będzie zacząć od maksymy Tocqueville’a, w której wspomina on: *„Ludy nie wtenczas powstają, kiedy najmocniej są deptane, lecz przeciwnie – wtenczas, gdy gniotące je jarzmo stało się lżejsze”*. Słowa te idealnie pasują do klimatu, jaki zarysował się w Europie pod koniec lat pięćdziesiątych XIX wieku. Rosja przegrała wojnę krymską, Francja – ta odwieczna przyjaciółka Polski – wyrosła na główną siłę „rozdającą karty” w Europie, a Włosi pod przywództwem Garibaldiego złączyli rozdrobnione księstwa w je-

den organizm państwowy. Nawet w Rosji – tym mateczniku absolutyzmu – coraz powszechniejsze było oczekiwanie zwiększenia swobód. Poprzedni car, Mikołaj I, zwany „żandarmem Europy”, nie doczekał klęski pod Sewastopolem, a na opustoszałym tronie zasiadł jego syn, Aleksander II. Jak to często bywa, nowy władca był przekonany o wyższości – względem poprzedników – swoich poglądów na sposób sprawowania władzy. Życie uczy, że takie przekonanie trwa zazwyczaj dość krótko i najczęściej załamuje się przy pierwszym poważnym zderzeniu z realiami. Obejmując rządy w Imperium Rosyjskim Aleksander II miał w swoim władaniu szóstą część lądów na Ziemi i choć w kilka lat po omawianych wydarzeniach odsprzedał rządowi Stanów Zjednoczonych wiecznie zmarznątą, bezwartościową – jak się zdawało – Alaskę, ogrom podlegającego mu terytorium mógł oszalać. Być może to poczucie niewyczerpanych zasobów w zderzeniu ze świadomością zacofania gospodarczego (o czym dobitnie przekonano się podczas przegranej wojny krymskiej) utwierdziły Aleksandra II, że czas już najwyższy na wprowadzenie niezbędnych reform, z których najważniejszą miało być uwłaszczenie chłopów. Rozgorączkowane i rozentuzjasmowane elity w obu stolicach (Moskwie i Petersburgu) snuły plany reform godnych Piotra Wielkiego. Nastąpiło poluzowanie reżimu, a tym samym zaczynał się wypełniać warunek niezbędny – według Tocqueville’a – do wybuchu z dawna tłumionego buntu. Nie miejsce tutaj na opisywanie ani samych reform, ani przeszkód stojących na drodze do ich realizacji, dość że zwrócimy uwagę na narastającą sprzeczność pomiędzy reformatorskimi zapędami a realiami sprawowania jedynowładczych rządów. Wprowadzając reformy car osłabiał fundament swojej władzy, którego przecież – jak każdy szanujący się tyran – osłabiać nie miał ochoty. To szamotanie się pomiędzy owymi sprzecznościami (z jednej strony), i chęciami a możliwościami (z drugiej) powodowało słynną chwiejność cara Aleksandra. Jednego dnia gotów był do wprowadzania zmian, a już następnego srogo karał za próbę ich realizacji; dzisiaj przymykał oko na demonstracje w Warszawie, a

jutro nakazywał twardo rozprawiać się z manifestantami. To rozchwianie emocjonalne było poczytywane za słabość cara (a więc również stojącego za nim Imperium) i skłaniało w Królestwie „gorące głowy” do eskalacji żądań.

W tym miejscu warto powrócić do prawdy zawartej w cytowanym wyżej spostrzeżeniu francuskiego myśliciela. Gdy żył bowiem ojciec obecnego cara, a w pałacu Namiestnikowskim urzędował srogi Iwan Paskiewicz, nikomu nie przychodził do głowy pomysł urządzania w Warszawie ulicznych demonstracji. Skoro jednak obecny car nie tupnął nogą przy pierwszej takiej próbie, to sam niejako przyczynił się do ich ponawiania. Skromne początkowo żądania stawały się coraz śmielsze, a czynione ze strony cara ustępstwa (m. in. otwarcie Uniwersytetu w Warszawie, legalizacja Towarzystwa Rolniczego) zachęcały do stawiania kolejnych żądań. Na to wszystko nakładały się sympatyzujące z Polakami nastroje rosyjskiej inteligencji, a także faktyczne oddanie steru rządów w Królestwie w ręce margrabiego Wielopolskiego, który – gdzie tylko mógł – otaczał się polskimi urzędnikami. W całym Imperium czuć było powiew odnowy, swego rodzaju „pierestrojkę”, więc tym większe było zaskoczenie, gdy nagle przy którejś tam z rzędu manifestacji wojsko otworzyło w Warszawie ogień do manifestantów. Zginęło pięć osób, a ich śmierć stała się początkiem wydarzeń, które w efekcie miały przynieść śmierć dziesiątkom tysięcy! O tym jednak nikt nie mógł wiedzieć, a i wiedzieć pewnie by nie chciał, bo liczyło się tylko gorączkowe, pełne emocji odczucie ważności chwili dziejowej.

Dalsze wypadki cechowały się z jednej strony eskalacją żądań polskiego społeczeństwa, a z drugiej chwiejną polityką władz. Wystarczy powiedzieć, że pogrzeb pięciu zabitych stał się wielką, patriotyczną manifestacją, wobec której zadziwiający był brak reakcji Rosjan. To rozpałało serca, budziło nadzieję na dawno oczekiwaną przemianę, ba! może nawet na autonomię Królestwa. Rozpoczęło się śpiewanie pieśni po kościołach, ozdabianie domów flagami narodowymi, urządzanie manifestacji i mszy za ojczyznę pod byle

pretekstem. Car nadal był chwiejny. Raz gniewał się i surowo nakazywał kolejnym namiestnikom rozprawienie się z buntowniczymi nastrojami Warszawy (rozkazał, na przykład, wycelować na miasto gotowe do strzału armaty), kiedy indziej bardziej wierzył Wielopolskiemu i jego planom reform niż swoim własnym urzędnikom, którzy przestrzegali cara przed dwulicowością Polaków. Kiedy jednak znowu padły strzały, a tym razem zabito ponad sto osób, groza padła na miasto. Julian Wieniawski wspominał: *„Zdania krzyżowały się najprzeróżniejsze. Jedni potępiali sprawców nieszczęścia, promodyrów spod ziemi wyrostych, którzy lud prowadzili na rzeź jak stado baranów, zrywając wszelkie możliwe porozumienie między narodem a rządem i niweczące wprowadzenie reform. Inni podnosili do wyżyn bohaterstwo tych ludzi, którzy pierś bezbronną nadstawiali dla dowiedzenia światu, że Polska żyje i że się o należną jej wolność upomina kosztem krwawych ofiar, a owe manifestacje właśnie poczytywali za rozum polityczny narodu, nie dającego się obalamucić rzekomymi dobrodziejstwami reform”*. Na rozkaz cara znowu ogłoszono stan wyjątkowy, zniesiony wcześniej na fali „odwilży”. Stopniowo odbierano zbuntowanej prowincji te przywileje, które w początkowym okresie rządów udzielono. Rozwiązano Towarzystwo Rolnicze, zlikwidowano samowwającą Delegację Miejską. Za odważne słowa w obronie polskich interesów na banicję skazany został przywódca ziemiaństwa, Andrzej Zamoyski. Te wydarzenia powodowały permanentny stan wrzenia i to nie tylko w stolicy.

Patriotyczne demonstracje odbywały się jak kraj długi i szeroki. Przez blisko dwa lata trwało to niezwykle poruszenie w Królestwie, aż wreszcie margrabia Wielopolski, chcąc ratować reformy i pokazać carowi, że panuje nad sytuacją, postanowił „zebrać szumowiny”, jak to określił, w ramach imiennego poboru do wojska. Część proskrybowanych zatrzymano, reszta uciekła w lasy wokół Warszawy. Przypomnijmy, że pora była zimowa, a sama ucieczka nie była w żaden sposób przygotowana. Na zbiegów nie czekały ani kwatery, ani broń, ani dowódcy, którzy mogliby ująć

ich w karby wojskowej dyscypliny. Tego wszystkiego zabrakło. Jeżeli bowiem ktoś spośród organizatorów protestów o walce myślał, to najwcześniej późną wiosną, bo z braku środków materialnych wcześniejsze zorganizowanie dostaw nie było możliwe. Zresztą, ta sama Francja, na którą tak zawsze liczyli „biali”, bardzo przeszkodziła przygotowaniom, aresztując w Paryżu na miesiąc przed wybuchem powstania polskich przedstawicieli (a także przywiezione przez nich na zakup broni pieniądze), i odsyłając do Rosji znalezione przy nich dokumenty. Ot, jeszcze jeden przykład na to, że w polityce międzynarodowej nie powinno się liczyć na sentymenty, „odwieczne braterstwo” i podobne temu deklaracje, które w sytuacjach ostatecznych stają się hasłami bez pokrycia. Późniejsze zachowanie Francji, a zwłaszcza cyniczne wezwanie „Trwajcie!” skierowane przez Napoleona III, w dużym stopniu przyczyniło się do zwiększenia skali tragedii.

Józef Piłsudski, mający przecież wielkie doświadczenie w konspiracji, słusznie zauważył: *„Kółka spiskowe, sformowane przed wybuchem powstania, zajmowały się przede wszystkim rozszerzaniem się, to jest propagandą i dalszym organizowaniem spisku. To absorbowало czas kierownictwu, które było zawałone kłopotami organizatorskimi i wystąpieniami w rodzaju manifestacji i różnych psikusów tak, że na przygotowania wojenne bardzo mało zwracano uwagi”*. W takich więc niesprzyjających okolicznościach (zima, brak broni, brak organizacji wojskowej, brak planów na prowadzenie wojny) Komitet Centralny stanął przed dylematem: ogłosić powstanie czy biernie pozwolić na dalszą brankę, która na prowincji miała mieć miejsce 26 stycznia. Z zachowanych wspomnień wyłania się obraz totalnego chaosu i rozpacz. Sytuacja przerosła spiskowców i na wskroś przypominała antyczną tragedią: los bohaterów nie leżał w ich rękach. W zaistniałej sytuacji nie było po prostu dobrego wyjścia. Jak zwykle w sytuacjach przelomowych, tak i tutaj decydenci ugięli się pod presją ulicy. Trzeba było ratować honor rewolucji, a tym samym honor tych środowisk, które przez dwa lata prowadziły utarczki z rządem, z carem, ze zniema-

widzonym Imperium. Decyzja zapadła i oto wkrótce rozpoczęły się zmagania z wrogiem, który dysponował na terenie Królestwa doświadczoną, stutysięczną armią. Co mogli przeciwstawić tej sile zziębnięci, głodni i bezbronni? Przeciwstawili Rosjanom ducha wolności. Przeciw karabinom to niewiele, ale na bazie napięcia moralnego (jak nazwał ten stan Józef Piłsudski) możliwe jest dokonanie rzeczy w innych warunkach nieosiągalnych. Inna sprawa, że takie napięcie nie może trwać wiecznie i jeżeli nie zostanie podbudowane sukcesami, łatwo przerodzić się może w stan apatii bądź nawet defetyzmu. Skupianie się w okresie poprzedzającym wybuch na aspekcie rozbudowy organizacji i rozbudzaniu ducha rewolucji, choć samo w sobie potrzebne, ba!, wręcz niezbędne, nie mogło zastąpić przygotowań w sferze materialnej. Duch, choćby nie wiem, jak piękny i do chmur wybujały, bez oręża w dłoni nie ma szans na zwycięstwo z uzbrojonym i bezwzględnym wrogiem.

Niespodziewane ataki powstańców pierwszej nocy, tak rzadkie i tak zazwyczaj nieudane, wytworzyły jednak w dowództwie armii rosyjskiej atmosferę niepewności co do prawdziwej siły bojowej powstańców, w wyniku czego wydano rozkaz ściągnięcia wojsk do największych miast. Reszta terenów została bez walki wydana w ręce powstańców. To był jedyny moment w trakcie powstania, gdy powstańcy przejęli inicjatywę. To znaczy, przejęliby ją, gdyby posiadali odpowiednio uzbrojone, wyszkolone oddziały i dowództwo, które wydałoby tym oddziałom odpowiednie rozkazy. Nie spełniono ani jednego z tych warunków. Rząd wydał dekret o uwłaszczeniu włościan i zrzucił ze swoich barków odpowiedzialność, powołując na dyktatora powstania przebywającego w Paryżu Ludwika Mierosławskiego, a potem wyniósł się do Płocka, w Warszawie zostawiając swoich pełnomocnych przedstawicieli: dwóch studentów i inżyniera. Do tych właśnie przedstawicieli rządu dobijali się z prowincji gońcy z gorączkową prośbą o rozkazy, gdy tymczasem sam „rząd” chciałby od kogoś uzyskać jakąś poradę czy wskazówkę. Czas płynął nieubłaganie i wkrótce Rosjanie ocknęli się z zaskoczenia. Rozeszli kolumny wojska, które nie spo-

tkwały się z większym oporem i od tego momentu rozpoczęło się polowanie na luźne, samotne grupy powstańcze. Gdyby nie opieszałość Rosjan, powstanie mogło zostać zdławione już w pierwszych tygodniach. Jeden z obserwatorów tamtych wydarzeń, Józef Ignacy Kraszewski, snuje domysł, że opieszałość ta miała swoje uzasadnienie; takie mianowicie, że przedłużanie walk pozwalało „wykazać się” dowódcom stacjonujących w Królestwie oddziałów i przyczynić się do większych strat ludzkich i materialnych po stronie polskiej, z góry przecież skazanej na porażkę.

Przy okazji omawiania taktyki działania dowódców rosyjskich warto podnieść kwestię rewolucyjnych nastrojów w carskiej armii. Otóż nadzieja na ogólną rewolucję, tak w Polsce, jak i w Rosji, była podwaliną nadziei na zmiany polityczne w zaborze rosyjskim. Główni spiskowcy (Jarosław Dąbrowski, Zygmunt Padlewski) budowali plany zdobycia warszawskiej cytadeli i twierdzy w Modlinie w oparciu o istniejącą, ich zdaniem, rewolucyjną konspirację w carskiej armii. Niestety, gdy przyszło co do czego, okazało się, że ani żołnierz rosyjski nie jest zrewoltowany, ani oficer nie nadłoży karku za nie swoją sprawę. Przykład Andrieja Potiebniego jest tutaj chlubnym wyjątkiem, a jeżeli zdarzali się dezercerzy z armii, byli to zazwyczaj Polacy, porzucający carski uniform. Były też przykłady, że niedawni zadeklarowani spiskowcy, stawali się teraz – na wzór gorliwych neofitów – najbardziej oddanymi, okrutnymi katami powstania. Najstydniejszym z takich „niedoszłych” rewolucjonistów był pułkownik, później generał, Ksawery Czen-giery, który spacyfikował ziemię kielecką i sandomierską. Co do dowódców po polskiej stronie, to o efektach dyktatury Mierosławskiego, a po jego upadku dokonaniach drugiego dyktatora, Mariana Langiewicza, nawet nie ma co wspominać. Każdy z nich zderzył się z opisanymi już realiami powstania (brak broni, brak doświadczonego żołnierza, brak współpracy między oddziałami, wielka przewaga militarna Rosjan) i dość szybko opuszczał pole walki. Zostawali tylko ci, którym serce i honor dyktowały konieczność dalszej walki. Zastanawiające jest jednak, że nawet wielu z tych,

k którzy brali udział w przegranych bitwach, po rozproszeniu oddziału na nowo przystępowali do walki, czerpiąc (skąd?) nadzieję na ostateczne zwycięstwo. Tylko ludzie o silnym morale zdolni są do takiej postawy. Nic dziwnego więc, że hasłem przewodnim były im „*Bóg, Honor, Ojczyzna*”.

Jakkolwiek by oceniać powstanie styczniowe, jedno trzeba oddać jego uczestnikom: byli to ludzie pełni poświęcenia. Kierowani szlachetnymi pobudkami porzucali wygodne życie i szli do lasu, gdzie często za całe pożywienie musiała starczyć słonina i wódka, a za ciepłą pierzynę biała kołdra śniegu. W ciągłym odwrocie, rzadkie zwycięstwa gęsto przeplatając klęskami, śmiercią towarzyszy i – co najgorsze – narastającą świadomością nieuchronnej klęski. W takich okolicznościach może dziwić, a nawet wzruszać, gotowość ciągle nowych ochotników do dzielenia trudów i niebezpieczeństw wspólnej walki przeciwko wielokrotnie silniejszemu przeciwnikowi. Czy za tą zaskakującą gotowością stał brak wyobraźni, chęć przeżycia przygody, potrzeba serca, presja otoczenia (wywierana zwłaszcza przez kobiety) czy też atmosfera domu rodzinnego, przesiąknięta opowieściami ojców o powstaniu listopadowym i bajaniem dziadów o czasach napoleońskich? Zapewne to wszystko razem, w różnym stopniu u poszczególnych ludzi, wpływało na decyzję. Jako że byli to głównie młodzi, w grę wchodził jeszcze jeden argument, bardzo trafnie ujęty przez Fryderyka Skarbka: „podrosło pokolenie, które nie zaznało na sobie wszystkich nieszczęść poprzedniego pokolenia.”. Ten brak pamięci u młodych, a czasami świadome odrzucenie bagażu doświadczeń poprzednich pokoleń, chyba bardziej różnicował postawę społeczeństwa niż znany z podręczników podział na „białych” i „czerwonych” (wynikający głównie z kwestii majątkowych). Młodzi, zawsze bardziej radykalni w swoich poglądach na świat, uznali, że oto nadszedł czas wzięcia spraw we własne ręce, a będąc przekonanymi o swojej wyższości nad poprzednikami, nie wahali się postawić wszystko na jedną kartę. Co godne podziwu, w większości nie załamywali się oni przy pierwszych niepowodzeniach,



choć zjawisko dezercji też miało miejsce, w większym jednak stopniu dotykając słabo uzbrojone warstwy włościańskie.

Trzeba jednak i chłopom oddać, że wstępowali do partii powstańczych kierując się bardziej odruchem serca niż zapowiedzią nadań ziemi po (problematycznym) zwycięstwie. A przecież ta warstwa społeczna, jak żadna inna, miała prawo nie ufać ruchom wywodzącym się z miasta czy dworu! Od tylu wieków utrzymywana w poniżającej ciemności, wyzyskiwana w sposób niewolniczy, miała prawo trzymać się z daleka od „pańskich ruchawek” i choć godne potępienia, to jednak nie dziwi posłuszne wypełnianie carskich rozporządzeń, tworzenie straży wiejskich, wyłapywanie obcych i szukanie oparcia w jedynym aparacie, który mógł obronić chłopą przed niesprawiedliwością (prawdziwą bądź urojoną) ze strony dworu. Z tej nieufności chłopskiej wzięto się też zjawisko „szwagrów” – jawnych pomocników, niejako tropicieli, opłacanych przez rosyjskie wojsko. Zjawisko to, choć marginalne, odcisnęło swoje piętno podczas walk na Kujawach.

Inną grupą, która wspierała Rosjan, byli koloniści niemieccy, zwani też często – z racji na specyficzny ustrój gospodarczy swoich wsi – olędrami. Dla nich, z reguły obco czujących się wśród polskiego żywiołu, wspieranie praworządnej władzy było swego rodzaju racją stanu. Zazwyczaj od przyzwoitości (a więc cech moralnych, nie politycznych) poszczególnych osób zależało, jak daleko sięgała ta współpraca. Odpowiedzią ze strony powstańców na próbę kolaboracji z Moskalami było utworzenie formacji tak zwanych „żandarmów wieszających”, którzy represjami starali się karać wszelkie próby takiej kolaboracji.

Tych kilka przytoczonych zjawisk nie może jednak odebrać wydarzeniom roku 1863 należytej perspektywy. Bo choć powstanie zakończyło się klęską, i to klęską w wielu wymiarach straszliwą, to poniosło następnym pokoleniom legendę. Legendę o niezłomnym narodzie, który jest w stanie znieść największą nawet hekatombę. Narodzie, który nigdy nie zaprzestanie mówić o swoim prawie do istnienia i samostanowienia. Bardzo trafnie ujął tę cechę

Polaków rosyjski pisarz, który na zlecenie namiestnika Berga opracował genezę powstania styczniowego i jego przebieg. Pisał on: „Polacy nie przestaną nigdy być Polakami. Takimi, jakich widziało ich już kilka rosyjskich pokoleń. Zawsze oni w głębi swych serc żywić będą te same nadzieje, te same marzenia, i nie pozbędą się swej nienawiści do wszystkiego co rosyjskie. I jak ich przodkowie, tak i następne pokolenia nie dadzą się wyleczyć żadnymi zawodami i klęskami, żadną niesumiennością zachodniej polityki, żadnymi konfiskatami majątków, wieszaniem i zsyłkami na Sybir.”

Po tym krótkim naszkicowaniu zagadnienia nadszedł właściwy moment, aby powrócić do postawionego w tytule pytania: czy historia jest nauczycielką życia? Z czasów szkolnych pamiętam tę rzymską maksymę, rozpiętą na ścianie sali lekcyjnej, która w oryginale brzmi: *Historia magistra vitae est!* Niech mi wybaczą starożytni, ale – wbrew własnym nadziejom – nie mogę się z nimi zgodzić. Dlaczego? Melchior Wańkowicz wspominał, że po odzyskaniu przez Polskę niepodległości widywał często na ulicach dawnych powstańców styczniowych, wtedy już sędziwych, brodatych starców, z dumą noszących przyznane im przez państwo fioletowej barwy mundury. W tych pochylonych sylwetkach, w tych zmęczonych życiem twarzach każdy mógł dojrzeć echo przeszłości. Im więcej lat mijało od sześćdziesiątego trzeciego roku, tym mniej pamiętano o strasznych ofiarach powstania i represjach po jego upadku, a bardziej zwracano uwagę na mit bohaterskich obrońców ojczyzny, co to (cytując wiersz Z. Onyszkiewicza):

*Powstali, bo rozpacz kazała.  
Bo nadto znęcały się katy.  
Bo wszelka się miara przebrała.  
Z kijami szli na armaty.  
Bez butów brodzili po śniegach.  
Bez dostatniego odzienia.  
Nieletnie chłopaki w szeregach.  
Walczyli jak lwy bez wytchnienia.*

W międzywojniu weterani powstania styczniowego cieszyli się wielkim szacunkiem społecznym, a poprzez tę swoją wyraźną obecność w życiu publicznym oddziaływali pośrednio na postawę młodzieży. Tej samej młodzieży, która już niedługo, w roku czterdziestym czwartym, stanie przed dokładnie takim samym wyzwaniem, przed jakim stanęli powstańcy styczniowi: bez broni, wobec przeciwnika nieporównanie silniejszego, trzeba było podjąć walkę. W obu przypadkach mamy do czynienia z desperacją i swoistym fatalizmem: jakkolwiek podejmie się decyzję, nie ma widoków na szczęśliwe zakończenie, a jednak i jedni, i drudzy rzucają się do walki. Zdradzeni przez sojuszników (prawdziwych lub wyimaginowanych), przeceniający swoje siły, niedoskonałość przygotowań nadrabiający brawurą i odwagą, a nad tym wszystkim myśl jedna: „Ojczyznę, wolność, racz nam zwrócić Panie!”. Tragedia stycznia w całej swej krwawej okazałości powtórzyła się w sierpniu. Te same błędy, te same ideały... ta sama hekatomba. Z bogatych doświadczeń powstania styczniowego nie wyciągnięto żadnego wniosku, a przecież krążący po ulicach i uroczystych akademiach weterani byli najlepszym „memento” dla żyjących, aby uniknąć choć części błędów popełnionych w przygotowaniu tamtego powstania. Nic z tego! Gdy przyszła dramatyczna chwila kolejnego zrywu, Polacy znowu większą nadzieję pokładali w obcej interwencji niż we własnym przygotowaniu się do nieuchronnej walki. Czytając opis desperackiego ataku kosynierów na armaty pod Węgrowem (zginęło ich tam za jednym zamachem stu pięćdziesięciu), przed oczami pojawia się atak butelkami z benzyną na umocnione bunkry czy lichy uzbrojone oddziały w powstańczej Warszawie, gdzie tylko co który powstaniec miał karabin, a reszta „liczyła” na śmierć kolegi, by uzbroić się jego bronią.

Więc pytam jeszcze raz starożytnych: na czym opieraliście swoją myśl, jakoby z doświadczeń poprzednich pokoleń korzystają następne? Skąd wzięła się w was wiara w potomnych, że nie popełnią tych samych błędów, które przydarzyły się ich ojcom i dzia-

dom? Tłumaczyć was może nieznajomość wiersza Jana Kochanowskiego, który już ponad czterysta lat temu poznał się na naszym charakterze i w „Pieśni o spustoszeniu Podola” napisał:

*Cieszmy mnie ten rym: mądry Polak po szkodzie.  
Lecz jeśli i z tego prawda nas zbodzie,  
Nową przypowieść Polak sobie kupi,  
Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi.*

Tutaj dotykamy sedna problemu. Starożytny myśliciel, tak rozsądny i trzeźwo kalkulujący, nie przewidział, że po wielu wiekach z głębi stepów nadwożańskich, z ostępów leśnych wychynie na świat tak dziwna, skomplikowana istota, jaką jest... Polak!